

*Rafał Magoń*

## **Z ŻYCIA ŻOŁNIERZA - OD SZEREGOWEGO DO OFICERA STARSZEGO, cz. I**

Gdy ponad 26 lat temu wstępowałem do wojska, nie myślałem że zostanę oficerem. Tak naprawdę to zostałem termitem, bo chciałem nic nie robić. Takie miałem wyobrażenie o służbie żołnierzy nadterminowych. Jednak okazało się, że trzeba dużo pracować i słuchać przełożonych. Pierwsze lata uczyłem się pokory, a z moim krnąbrnym charakterem był to nie lada wyczyn. Szczerze to dalej mam czasem z tym problem – a to dlatego – że mam swoje zdanie i za wszelką cenę zamierzam wykonać powierzone zadanie. Przełożeni potrafią utrudniać – myślę, że dla własnej zabawy.

W 1997 roku, gdy wstąpiłem do 5. pułku dowodzenia, nie myślałem, że w przyszłości będę zajmował się łącznością, a już na pewno nie będę bezpośrednio odpowiadał za łączność i zapewnieniu dowodzenia dowódcy jednostki wojskowej. Na początku była musztra i to ta z najwyższej półki. Służyłem w kompanii reprezentacyjnej KOW (Krakowskiego Okręgu Wojskowego). Miałem ogromną przyjemność witać delegacje z całego świata, na krakowskich Balicach uczestniczyć w szpalerze wykonanym dla ojca Jana Pawła II. Och, co to było za przeżycie, ówcześni ochroniarze BOR (biuro ochrony rządu) przeciskali się pomiędzy nami, a i tak dwa mundury smagały się od wiatru, mój w barwach żołnierza i biały Ojca Świętego. Czulem się wtedy jakby coś więcej, coś co później miało dla mnie znaczenie, dotyczyło mnie przeznaczenie. I wszyscy myślą, po tym opisie, że była to cudowna służba Bogu i Ojczyźnie.

Codziennosc żołnierza to tupanie, maszerowanie i układy z bronią. Moim jednym z dowódców był chor. L, nauczył nas fajnego kroku, „ciufcia” czy też „lokomotywa”, polegało to maszerowaniu tak, aby jedna nogą ciągnąć po asfalcie a drugą przybijać, ten krok dawał specyficzny odgłos ruchu kół i parownika w lokomotywie. Niesamowite doświadczenie, gdy szef pododdziału później darł gębę za gwoździe, które pogubiliśmy i za zniszczone starte blaszki. Później dowiedziałem się, że miało to też aspekt edukacyjny – było idealnie słyhać, jak pododdział przyspieszał. Dzisiaj mogę powiedzieć, że pot włożony na tej kompanii - wielokrotnie był przeze mnie wykorzystywany podczas udziału w uroczystościach o charakterze religijnym, państwowym, czy też inne doniosłe wydarzenia.

Czasy zasadniczej służby były swego czasu przesiewem ziarna od plew. Żołnierze zostawali na służbę terminową, już wtedy kadrowcy rzucali limity, już wtedy trzeba było starać się, być lepszym od innych. Musze również wspomnieć, że rok 1997 był rokiem, kiedy poznałem moja przyszła piękną żonę.

Jak każdy pododdział miał swoje rejony do sprzątnięcia, nasza kompania chodziła sprzątać sztab, a dowództwo i sztab znajdowało się przy ulicy Ułanów w Krakowie, było to zajęcie nie trudne i mogące dać wiele satysfakcji. Znaczy się, można było po ściemniać, to co myślałem, że w wojsku głównie się robi. Był tam adiutant dowódcy – inni nazywali go dyżurnym sztabu, ponoć adiutant jest na etacie i przysługuje ważnemu dowódcy lub generałowi. Dysponował on środkami do sprzątnięcia i rozdzielał rejony do czyszczenia. Raz zapytał, czy mam maturę i czy chciałbym być w sztabie, no pewno, że chciałem. Było tylko jedno, ale, pełna dyspozycyjność (żołnierz w służbie czynnej raczej nie miał nigdy z tym problemów, nie to co teraz tak zwana kadra zawodowa, profesjonalna), samodzielność, wygląd, kultura wysławiania się i... trzeba było nauczyć się wszystkich telefonów służbowych na pamięć, a było ich ponad dwieście – numer i do kogo (funkcja, stopień nazwisko). Wracając na pododdział wiedziałem, że będzie trudno, ale miałem świadomość, że jest to też szansa dla mnie. Udało się.

Dowodził wtedy płk Andrzej B. – człowiek charyzmatyczny, z wielką fachową wiedzą – nie liczny na tamte czasy mówiący tak płynnie w języku angielskim. Pamiętam, jak dziś, gdy kierownik Klubu montował dowódcy telewizję satelitarną, wódz zapytał czy będzie CNN. Miałem za zadanie co rano przygotować Cappuccino, lampkę koniaku i włączać na kanał informacyjny CNN – cóż można by powiedzieć, artykuł zawiera lokowanie produktu. Hmn..., sam później korzystałem, prezenterzy mieli tam idealną dykcję i nie mówiąc szybko można było ich łatwo zrozumieć, ponadto na dole leciał pasek z wydarzeniami, o których mówili.

Pułkownik B. bardzo zwracał uwagę na wygląd. Przed wejściem do swojego gabinetu nakazał powiesić lustro – długie na metr osiemdziesiąt – wszyscy, którzy wchodziłi do niego sprawdzali swój wygląd. Tak bardzo, byłem tym przejęty, że gdy raz przyjechał nasz przełożony płk K. ze sztabu okręgu, oczywiście dowiedziałem się o tym później (teraz wiem na 100 % że przełożonych trzeba znać twarz, wygląd). Ja przejęty pełniona funkcją, zwróciłem mu uwagę:

- Panie Pułkowniku wchodzi Pan do dowódcy Jednostki, proszę sprawdzić swój wygląd, poprawić beret. Nie trzeba było mi długo czekać na reakcje pułkowników. Płk B. zadzwonił do mnie z pytaniem czy wiem kto właśnie wszedł do niego, byłem przerażony i zacząłem od przeprosin mojego dowódcy, że nie zapytałem kto wchodzi. Potem nakazał mi wejść do gabinetu i przedstawić, jak wprowadziłem płk K. do niego. Mimo, że widziałem wśród nich pogodne miny byłem przerażony, że właśnie straciłem lukratywną posadkę, płk K. bali się wszyscy i wszędzie. Obrócili to w żart, a dowódca wytłumaczył mi, że nie ważne kto wchodzi. Pomieszczenie dowódcy to ołtarz, gdzie żołnierzy przyjmują się do raportu, gdzie podejmuje się najtrudniejsze decyzje i wymagany jest szacunek do stanowiska i munduru.

Raz zabawiłem na Krakowie z kumplami, och te młodzieńcze fantazje, miałem przepustkę stałą – tzn. od 0.00 do 0.00, więc nie martwiłem się o której wrócę do jednostki. No i wróciłem o 6.00, dowódca przychodził zawsze tak około siódmej, oj co Ja się nakombinowałem, żeby być w sekretariacie o czasie. Niestety, dowódca przyszedł wcześniej niż zawsze. Młodzieńcza witalność, dała mi siłę, dowódca nie poznał, że bawiłem się całą noc. Zacząłem przygotowywać cappuccino – woda jeszcze nie zagotowana – więc z paniki zalewam półprzegotowaną, nie zaparza się, mieszam, mieszam aż proszek rozpuści się. Teraz lampka koniaku, jacier...le koniak skończył się wczoraj, patrzę do lodówki jest wódka, wlewam wódkę i moją wczorajszą niewypitą herbatę, kolor jest git – jeszcze smak... dodaje troszkę cukru i soku z porzeczeki, dobrze, że był. Okey, zanoszę zestaw dla dowódcy. Mija 15 minut, dowódca mnie wzywa. Przerazenie sięga zenitu. Panie szeregowy, proszę przekazać kierownicze kasyna, żeby lepszy koniak kupowała, ach i nie zalewaj napoju kawowego za wcześnie, nie lubię zimnego. Myślałem, że oszaleję, los jest za mną.

Płk B. na stanowisku zmienił płk W., dowódca nie tuzinkowy, który przejechał całą Polskę by zostać dowódcą Pułku Dowodzenia. Zaszczyt poznania tego oficera, skłonił mnie to refleksji nad swoim losem i chęć zastania podoficerem - kapralem. Nie oponował, nawet chwili, gdy zapytałem, czy mogę iść na kurs podoficerski. Kurs trwał 3 tygodnie i był realizowany w kompleksie Pychowice w Krakowie. Zostałem dowódcą drużyny w kompanii zabezpieczenia w 4. batalionie zabezpieczenia stacjonującym przy ulicy Ułanów w Krakowie. Często bywa tak że droga dyżurnych sztabu, czy też adiutantów rozchodzi się z dowódcami Jednostek. Mój los wybrał mi inną drogę, być może wskutek słabego poboru lub zaufania przez dowódcę. Być może przez nabór do zasadniczej służby, więcej można było oddelegować żołnierzy do innych prac. Zostałem w sztabie, teraz to Ja będąc kapralem szukałem dyżurnego i kierowcy dowódcy. Być może była to wola szefa sztabu ppłk O., człowiek wyjątkowo inteligentny, ukończył szkołę w dzisiaj nie lubianej Rosji, ale chcę powiedzieć, że poziomu tych szkół brakuje nam i mimo nie pochlebnego teraz słowa od was nie wstydzę się tej opinii.

Płk W. potrafił korzystać z życia, lubił poznawać uroki magistratu Krakowa, fundusz dowódcy przeznaczał na kawę, orzeszki, które oczywiście mu podjadałem, sam też uzupełniałem. Raz doszło do zdarzenia, nakazał zrezygnowania z orzeszków, lecz Ja tak bardzo lubiłem orzeszki, że zasugerowałem, że dzięki orzeszkom umysł lepiej pracuje, no, no, a przecież dowódca potrzebuje chłonnego umysłu. Jednak nie to zdarzenie mam w pamięci.

Dowódca raz zasnął, a z internatu do biura przepustek był spory kawał, więc jak przystało na żołnierza chyba przez płot, tylko że warte miała Kompania Ochrony i Regulacji Ruchu – dawniej kompania reprezentacyjna KOW i wyczyn ten zaraz został zauważony przez

wartownika. Chciałbym widzieć minę płk, jak leżał na ziemi i czekał na Oficera Dyżurnego Jednostki, a mina Oficera dyżurnego podejrzewam też była bezcenna. Dowódca, nakazał od dnia następnego pomocnikowi oficera otwierać bramę gospodarczą, będącą bliżej Internatu. Oczywiście wartownik i dowódca warty zostali wyróżnieni urlopami i nagrodami pieniężnymi za pełnienie służby wartowniczej. Hmm.

Służba bardzo już podobała mi się, chciałem studiować, pieniążki jakieś były, no i raczej w miarę stała praca, byłem cały czas żołnierzem nadterminowym. Co prawda jak poszło się z kolegami na Kraków, to już 5 dnia miesiąca kasy był wielki brak. Był na to sposób, przecież nie mogłem głodować. Zawsze, bo odebraniu od szefa żołdu czy też pensji termita szło się do kucharzy i dawało się flaszkę. Za dwadzieścia złotych tygodnia nie przeżyjesz, a za butelczynę dawało się prawie cały miesiąc. Kucharze dawali mnóstwo ziemniaków, więc były i frytki, a i czas zupek chińskich miał wtedy renesans. Poza tym wałowa z domu i było OK. Aha, i ostatni sposób służby dyżurne. Z racji funkcji nie mogłem brać za dużo, tym bardziej w tygodniu, a przepustka sobotnia była dla mnie świętością. Pułkownik W. musiał mnie lubić – niektórzy nawet dzisiaj mówią że mam srogą minę, ale daje się lubić. Zapytałem kadrowca kapitana B. czy jest szansa na zostanie chorążym, odpowiedź była prosta – Co na to dowódca? No i udało się, poszedłem na szkołę podoficerską (kurs chorążych) do Zegrza.

Można by powiedzieć, że zacząłem edukację od wyglądu – prezentowania munduru żołnierza oraz barw narodowych, kolejno nauczyłem się szacunku do stanowiska, jak również osiągnąłem pierwszy stopień wojskowego cwaniactwa. Dzisiaj, przeszedłem szkolenie podstawowe, czas osiąść wiedze specjalistyczną. Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki czekało, w pełni świadom zacząłem wiązać swoje życie z Wojskiem.

W Zegrzu na pamięć zasługują: płk Ginter A., co Ja się do niego nachodziłem zaliczać Taktykę, a co się na bałem, powiedzenie, że nie trzeba złapać króliczka tylko cały czas go gonić, miało niewiarygodny sens. Kolejnym był major K., wtedy też to zrozumiałem że tylko hełmu nie da się wywrócić na drugą stronę, ale przyznam się, że byłem wtedy gotowy to zrobić. Gdy przy minus 15 stopni na słynnej Skubiance moja załoga musiała zamaskować Radiostacje R-140 siatką i przygotować stanowiska ogniowe, tak aby odeprzeć Grupy bandytów, dywersantów ze starszych roczników. Na początku łapki marzły, ale pod wpływem wykładowcy pot łał się wszędzie, a lepienie kul śnieżnych do przygotowania stanowiska było świetną lekcją, gdy mój syn później zapytał, czy możemy zrobić bałwana.

Gdy wróciłem do Krakowa, Pułk czekały kolejne rozkazy przełożonego o zmianie dyslokacji. Chorążym zostałem na batalionie u majora R., technik kompanii, gdzie radiostacje były na zapasie wojennym. Wszystko pięknie, pod warunkiem, że są ludzie do obsługi sprzętu.

I znów los uśmiechnął się do mnie - kolejna reforma w siłach Zbrojnych zmieniła znaczenie oficerów politycznych, kierowników klubów żołnierskich. Znacząco zmniejszono ich liczebność i zmieniono etaty z oficerskich na chorążackie. Pamiętam, to jak dzisiaj, gdy padło pytanie czy chcę być kierownikiem klubu żołnierskiego, odpowiedziałem, że tak pewnie, że chcę. I wysłano mnie na kurs tym razem do Warszawy. Kurs był naprawdę przedni, oprócz nauki historii wojska, było zwiedzanie muzeów, był sawuar vier. Wiele ciekawych ludzi wtedy poznałem, kultura i oświata stała na bardzo wysokim poziomie. Lecz i tu nagle pojawiła się pułapka na praktyki wysłano mnie do Brygady Lotnictwa marynarki wojennej w Gdyni. Miałem wrażenie że już do Krakowa nie wrócę. Co za radość była, gdy usłyszałem wracamy do Warszawy odebrać świadectwa, a potem do macierzystych Jednostek.

Miałem świadomość, że ten etat jest fajny, ale czas było rozwijać się. Nigdy nie odwracałem się od informatyki, zawsze miałem łatwość w poznawaniu programów, zwłaszcza graficznych. Ukończyło się kilka kursów, lecz większość byłem samoukiem. Na pewno pomogła mi edukacja w Technicznych zakładach Naukowych, gdzie poznawałem programy BASIC, LOGO, czy też język „monitora” assembler.

Dzięki temu programy takie jak Office Microsoft, star, corel, photo shop i inne które nie będę teraz wymieniał, był dla mnie proste, wychodziłem z założenia, że ten nic nie osiąga jak sam czasem coś nie popsuje. Jako kierownik posiadałem dwa zespoły muzyczne, oczywiście nie uzurpuję sobie wyłączność bez dwóch panów majorów A. i C., nie byłoby być może nawet dzisiaj oficera Magonia. Zespół ETER, który wtedy z powodzeniem konkurował z zespołem Czasza z 6BDSZ, oraz zespół Harnasie, wspinali górale pozyskiwani dzięki Bartkowi Koszarkowi. Pozdrawiam Panie Bartku. W owym czasie Pułk rozpoczął przenoszenie do Obiektów na Rząsce tuż obok Krakowa, remonty, zmiana dyslokacji. Zmiany szły – lecz cały czas był garnizon Kraków.

Poznałem wtedy kapelana mjr. K. – wyjątkowo dowcipny gość – no, ale taki powinien być wojskowy duchowny. Raz, gdy siedzieliśmy u mnie w klubie przyszedł po cywilnemu, zapytał co słyhać, odwiedzić. A że nikt w sumie go jeszcze z żołnierzy nie widział, wykorzystał chwilę. Żołnierz z pododdziału 2 kompanii przyszedł zapytać o nauki przedmażeńskie. Widząc to kapelan w najlepsze zaczął rozmowę:

- A wkurza mnie moja, non stop drze się papę, cały czas chce woła kasę.

Chłopak stojąc na korytarzu zapytał mnie czy może, bo chce do kapelana, że żeni się i słyshał, że da się i takie tam. No i ja mu odparłem że tam właśnie siedzi ksiądz. Tych rozbieganych oczu żołnierza nie zapomnę i mina, która mówiła: - ale jak to przecież to ksiądz. Oczywiście wszystko zakończyło się humorystycznie, z uśmiechem żołnierz pozyskał termin

nauk, a i dystans do kapelana zmienił się na wskutek opowieści na pododdziałach, jaki to zabawny gość i taki spoko. Teraz wiem na pewno, że była to świetna metoda na zjednaniu sobie niedowiarków.

Wracając do łączności przyjąłem nowy etat Kierownika Grupy Zabezpieczenia technicznego, etat po starszym chorążym sztabowym M. Jego miłość do koni była naprawdę wielka. Grupa zajmowała się obiektami szkoleniowymi, salami metodycznymi, rozdziałem sprzętu szkoleniowego i eksploatacyjnego, szeroko rozumianego w cywilnym środowisku, biurowego. Ta sielanka nie trwała długo czekała nas kolejna zmiana etatu - reforma Pułku. Ówczesny dowódca płk O. mówił, że będzie Brygada, jak później okazało się, miał ostać się tylko jeden batalion z czterech. Ratując swoją podróż na kresy Polski, rozpocząłem praktyki w Zespole Informatyki 2. KZ (korpusu zmechanizowanego), w komórce wsparcia użytkownika, byłem wtedy pełnym chorążym. Egzaminował mnie kpt. D., można by powiedzieć niezły macher, dzisiaj wiem, że cały czas poszerzał swoją wiedzę specjalistyczną w dziedzinie IT. Służba wojskowa nabierała rumieńców. Rozpocząłem doświadczenie na międzynarodowych ćwiczeniach.

Na ten czas szefem oddziału dowodzenia i łączności w Korpusie był płk K., Korpus również dosięgła reforma i zamienił się struktura w 2KZ, szefem został płk F. A Ja dostałem wtedy propozycję szefa administracji w tymże oddziale. Służąc w Korpusie poznałem bardzo wielu znakomitych ludzi, wielu dzisiaj jest dowódcami, generałami, pytanie jest, czy jeśli Ja ich pamiętam czy oni mnie też. Wtedy też przyszło mi do głowy zostać oficerem. Na początku wielu mi kibicowało, lecz gdy pojechałem pierwszy raz do Wrocławia, zderzyłem się z rzeczywistością, dodatkowy brak w życiorysie misji zagranicznej skutecznie zmniejszył punktację. Kierunek działania był tylko jeden misja – najlepiej IRAK lub Afganistan, oj znów jak Ja się bałem.

Dzięki trzem kolegom: J. K., G.R., A.M., dałem radę wpisać się do Grupy łączności X zmiany. Nie sposób opisywać tych ludzi w Grupie, nie sposób wymieć wszystkich ? Wtedy też poznałem braci płk. Gładyszów, jak różnych. Dzisiaj wspominam czasami dowódcę grupy kpt. Macieja Kurowskiego, tak mi wydaje się, że takim właśnie trzeba być dowódcą.

I poleciałem. Już pierwszego dnia w Bagram przywitał nas ostrzał z rakiet, zbieżność dat 9 września, rakiet obok RSOI gdzie spaliśmy spadła i uderzyła w zbiornik z wodą, nie wybuchła. Następnego dnia w podobnej godzinie znowu zawyły syreny, tym razem zwiedzaliśmy PX. Tak zacząłem przygodę w Afganistanie. Za dwa dni mieliśmy lecieć do Ghazni na najbliższe niespełna 8 miesięcy.

Po powrocie z powodzeniem spróbowałem Kwalifikacji do Studium Oficerskiego. Na pewno znajomość nowoczesnego sprzętu łączności, procedur i w miarę płynne posługiwanie się językiem angielskim stanowiło spory atut. Studium we Wrocławiu uświadomiło mi, kim jest Oficer, kształtowało we mnie upór, niejednokrotnie dzisiaj uważam o pewnych działaniach, które tam były realizowane za celowe wskazanie granicy. Uwiadomienia sobie swoich granic, zrozumienia swojego postępowania i kolejnego poziomu cwaniactwa wojskowego. Kolejny raz widział króliczka, tylko tym razem już nie biegał, tylko zapier...

Przez te ciernie radość jaka się zostaje oficerem jest nie zapomniana, uroczystość, kiedy to wchodzi się na wrocławski rynek, a ludzie, a ludzie proponują ci piwo z rozłożonych ogródków, gratulują, tak po swojsku, kto nie wywodzi się z rodziny wojskowej ten zrozumie. Gdy dzisiaj cofnę się do rozmów kadrowych we Wrocławiu, przypomina mi się jak pewien pułkownik proponował mi etat w batalionie w Opolu, jak proponował mi etat Legionowie, a ja z uporem maniaka wskazywałem zaświadczenie o etacie w Tarnowskich Górach na dowódcę plutonu, z tłumaczeniem że w końcu chcę bliżej domu, a orzekający sugeruje, że oficer to już musi zmienić mentalność i czas dojeżdżać do domu. Przecież ja już wtedy od ponad 14 lat dojeżdżałem. I udało się znowu. Dowódca plutonu łączności w Pułku Chemicznym.

Jest to część opowiadań z życia żołnierza od szeregowego do oficera starszego, nad którymi obecnie pracuję.